

Aleksander Błok

*Nad otchłanią
chybocąc się w locie*

*Wybrał, przełożył, przedmową
i przypisami opatrzył
Adam Pomorski*



JUBILEUSZ
PAŃSTWOWEGO
INSTYTUTU
WYDAWNICZEGO
1946-2021

75

Nad otchłanią chyboćąc się w locie

Ostatni dzień

Wczesnym rankiem, kiedy wstać nie śpieszy się nikomu
W przeczuciu szarego snu ostatnich dni zimowych,
Mężczyzna i nierządnicą ocknęli się w domu
W cuchnącym zaduchu ciemności domowych.

Budził się dzień. Beznadziejnie dogasały świece,
W zapuchłych oczach puchł ogarek woskowy.
Za zimną szybą drżały ramiona kobiece,
Mężczyzna przed lustrem robił przedział na środku głowy.

Lecz nic by już nikogo nie zwiodło o szarym brzasku:
Ona jak śmierć blada była tego rana.
Jeszcze wieczorem pod latarnią jej twarz zabłysła w blasku,
W tym tutaj pokoju nocą była zakochana.

A dzisiaj już ohydnie koszuli obwisły fałdki,
Pod szarym przebrzydłym nalotem znikła uroda.
Po kątach sterczały meble. Poniewierały się niedopalki,
A najokropniejsza w pokoju była czerwona komoda.

Wtem wpadły dźwięki z dworu. Wierzba rozkołysana
W wezbranych pąkach na wietrze otrząsa się ze śniegu.
Bił dzwon kościelny. Lufciki otwierały się z rana.
Z dołu raz po raz rozlegał się tupot biegu.

Z pośpiechem wybiegali przed bramę stróże,
Widziały coś stamtąd kobiety, chłopaki
(Bo parkan z desek ogradzał podwórze),
Wymachiwali rękoma, kreśląc dziwne znaki.

Dzwon bił. A pośród krzyku, rżenia, ujadania
Tam, na brudnej ulicy, gdzie w tłumie wrzawa rośla,
Kobieta z leża pijanego pożądania
Na kolanach, w koszuli, ramiona w niebo wzniosła.

Wysoko – nad domami – we mgle zamieci śnieżnej
Zamiast gwiazd nocą i chmur w południe – cienki
Różowy zygzak w pustce błękitu bezbrzeżnej –
Krzyż się rozpostarł za ruchem cienkiej ręki.

3 lutego 1904 (1915)

Piotr

Jewgienijowi Iwanowowi

Śpi, póki niebo nie poblądło.
W zarumienioną we śnie zbroję
Spod kopyt wbija wzrok widziadło
I z cichym sykiem pręży zwoje.

Zapadnie wieczór. Wąż po ciemku
Rozkłębi zwoje swe nad domy.
Piotrowi w wyciągniętym ręku
Zatańczy żagwi blask ruchomy.

Sznurem zapalą się latarnie,
Błyszczą witryny i trotuary.
Mętna poświata plac ogarnie,
Korowodami ruszą pary.

Zatonie wzrok w nęcącym wzroku.
Wszystkich ciemności płaszcz okrywa.
I niech o łaskę w kącie, w mroku,
Skamle niewinność przeraźliwa!

Tam, na opoce, władca dziarski
Kadzidłem smrodnym się okadza.
Nęcący blask latarni carskiej
Oblekła w ornat miejska sadza.

Na zew! na łów! biegnijcie, śpieszcie!
Na róg! w podksiężycowe blaski!
Pełno brzmi zewsząd głosów w mieście:
Kobięcy wiolin, męskie wrzaski!

Będzie stolicy strzegł po ciemku,
Aż miecz rozpali się przed świtem
I błysnie w wyciągniętym ręku
Nad jego miastem, w sen spowitym.

22 lutego 1904

Złuda

Wiosenne wody uliczką odludną
Toczą się, mamroczą, śmieszają panienkę.
Czerwony karzeł pijany – przejść trudno –
Tańczy, bryzga wodą, ochlapuje sukienkę.

Dziewczynie strach. Dobrze, że choć chusta...
Zapada zmrok. Za kominem słońce.
Karzeł, czerwony kłębek, kałużę rozchlusta,
Zmarszczoną ręką nagli strumyki biegnące.

Dziewczynę ludzi i straszy odbicie.
W oddali samotna latarnia zamruga.
Czerwone słońce za fabryką. W błękicie
Zmrok. Śmiech. Plusk. Dymu rozwleka się smuga.

Z oddali niewyraźne dobiegają dźwięki.
Kapie gdzieś z dachu... Kaszel starca o zmroku.
Nie ma życia w uścisku zimnej ręki.
Nie widać źrenicy w rozszerzonym oku.

.....

Strasznie tu! Bezdomnie! Tam, pod parkanem,
Zaległa kłębką przemoczonym, wstrętnym.
Płacze, żeby noc nie skończyła się ranem –
Wstyd wrócić do domu z diabelskim piętnem.

Świt. Chmurki. Dymy. Beczki dnem do góry.
Błękit tańczy w jasnych strumyków lustrze.
Czerwone szlabany odgradzają dziury.
Raz! Dwa! Żołnierze po wodzie chlupoczą na mustrze.

Nad ciałem śpiącej pod mokrym parkanem
W ulicze głowa się trzęsie, mamrocze w zachwycie;
Szkardny karzeł w strumyku rozlanym –
Raz! Dwa! Trzewiki splawia o świcie.

Trzewiki się kręcą, pędzą z prądem – i tyle,
Czerwona czapeczka z nimi w przegony...
Świt. Śmiech. Plusk. Tylko patrzeć, za chwilę –
Płyną psie uszy, broda i fraczek czerwony...

Umknęły. Szept niewyraźny strumieni.
Dziewczyna się budzi, ociera czoło:
W oczach jej czerwień z zielenią się mieni.
Błysk. Plusk. Strumyki. Wiosna wokoło.

5 marca 1904

U rozdroża,
Tam, gdzie dal powierzyła mi straż,
Ze smutną wesołością witam wiosnę.

Z ziemi twardego jeszcze podłoża
Przebijają pierwsze ździebełka.
W koronkach brzózek –
Daleko – głęboko –
Liliowe zбочe parowu.

Czymże nęci
Ziemi pustynia?

Na zachodzie, purpurowe z zimna,
Słońce – jak miedziany hełm rycerza,
Zwróconego smętnym obliczem
Ku innym czasom,
Innym widnokręgom...

Szyszak też – złoty obłok –
Stroszy biały pióropusz
Nad zuchwałą urodą
Moich wieczornych łachmanów.

A moje skrzydła żałosne –
Skrzydła stracha na wróble –
Płoną jak hełm słoneczny
Odblaskiem wieczoru,
Odblaskiem szczęścia...

Krzyże – dalekie okna –
Zębate wierzchołki lasu –
Wszystko to tchnie leniwym,
Tchnie białym metrum
Wiosny.

5 maja 1904 (grudzień 1904)

Przyodziejiesz mnie srebrnym brokatem,
A gdy umrę na nowiu,
Wzędzie księżyc Pierrot ponad światem,
Stanie pajac czerwony w pustkowiu.

Nic nikomu nie powie, lecz nocą
Martwy księżyc, niemowa żalсны
Towarzystkę zapyta – i po co
Pokochałem ją w żądy miłosnej?

W snu na jawie okrutnej rozkoszy
Białą, martwą się twarzą zanurzę.
Pajac głuptas puszczyka wypłoszy,
Ogluszając dzwoneczkiem swym wzgórze.

Z twarzy on pomarszczony i stary,
I bezwstydnny w nagości doczesnej.
Ale wschodzą złowróźbne opary –
W jasność, w czystość, w ten przestwór bezkresny.

14 maja 1904

Zachód słońca fioletem na niebie
Świat przytłacza, a ciężar ma głazu.
Mkniemy naprzód, wciąż naprzód, przed siebie,
Wykonawcy srogięgo rozkazu.

Mało nas. Płaszczę ścielą się mgławe.
Błysk kolczugi i skry pod kopytem.
Na północy wzbijamy kurzawę.
Okrywamy południe błękitem.

Państwa nie z tej wznosimy epoki –
Któż ciemnymi państwami ma władać?
Każdy w sobie ma rozłam głęboki,
Prawa zatem dwojakię chce nadać.

Gdzież jest kres? Dawne dzieje się starły.
Już i radość oddaje plac grozie.
Powiadają wyrocznie: *umarły*
Szlak przed nami toruje w wąwozie.

14 maja 1904

Kiedy omdlewają irysy
I w zachodnim teatr płomieniu,
W zakątku ostatniej kulisy
Ktoś nade mną wzdycha w półcieniu.

Czy Arlekin, co rzucił rolę?
Czy ty, łani spokojnooka?
Czy to wiatr, co przebiega pole,
Lekki podmuch niesie z wysoka?

Pajac, w świetle rozbłysłej rampy
Dźwigam klapę, zerkam sponad niej.
Czeluść zije za kręgiem lampy –
To żarłoczny pajak zapadni.

Kiedy omdlewają irysy,
Pajacuje, kręcąc się, dzwoniąc...
Ale ktoś w półcieniu kulisy
Płacze po mnie, gorzkie łzy roniąc.

Snów chybotem ukołysany
Mgły błękitne przywdziewa szaty.
Tulą się doń, wkładają w rany
Lekkie palce zapachu kwiaty.

26 maja 1904